

Pokojowa misja Viktora Orbána

10 lipca 2024

Viktor Orbán zaskoczył wszystkich, Bruksela oniemiała, a potem zabulgotała protestami. Misja pokojowa do Kijowa i Moskwy, a szczególnie spotkanie z prezydentem Putinem rozwścieczyło ją i zjednoczyło przeciwko premierowi Węgier. Ale pierwszy krok do pokoju został zrobiony.



W Brukseli wybiła godzina Węgier. A nawet całe półrocze – czas ich prezydencji w Unii Europejskiej. To taki okres, gdy biurokracje państw członkowskich poznają lepiej i zaprzyjaźniają się z eurokracją, wpasowują do nowego systemu władzy... A tu Węgrzy, zamiast spokojnie konsumować to dobro, rzucili się w wir pracy. Gdy na otwarciu prezydencji zaprezentowali hasło, pod którym będą przewodniczyli Unii, niektórym przeszły ciarki po plecach. Na tle kostki Rubika i unijnych gwiazdek widnieje dumnie hasło „Uczyńmy Europę Znowu Wielką” („Make Europe Great Again”). To kopia hasła Donalda Trumpa („Make America Great Again”). A ten przecież w Brukseli jest znienawidzony i wzbudza paroksyzmy strachu.

Patrioci Europy

Wiadomo, po Węgrach Bruksela może się spodziewać wszystkiego najgorszego. Zapowiedź tego wybrzmiała już w przeddzień przejęcia prezydencji. Viktor Orbán utworzył nową europejską frakcję w Parlamencie Europejskim (jedną z siedmiu), pod nazwą Patrioci dla Europy. W niedzielę 30 czerwca węgierski Fidesz, czeskie ANO Andreja Babisza i austriacka Partia Wolności podpisały manifest pod hasłem: „Po pierwsze suwerenność”. A w deklaracji – sprzeciw wobec scentralizowanego państwa europejskiego, priorytet suwerenności ponad federalizmem, wolności ponad dyktatem, pokoju ponad wojną. Inicjatywa w ciągu kilku dni rozszerzyła się o hiszpański VOX, niderlandzką Partię Wolności Geerta Wildersa, duńską Partię Ludową, flamandzkich narodowców i portugalską partię Chega. Ambicją Orbána jest stworzenie największej prawicowej grupy politycznej w Europie.

Czego innego spodziewać się po polityku, który lata swojego przywództwa budował na twardych starciach z unijną biurokracją, na organizowaniu marszów pod hasłem: „Nie będziemy kolonią Brukseli”. Pół roku temu całe Węgry były oklejone plakatami z Ursulą von der Leyen z synem i następcą imperium wpływu Georga Sorosa z podpisem: „Nie będziemy tańczyć, jak nam zagrają”. W odpowiedzi co bardziej krewcy unicy proponowali odebranie Węgom prezydencji.

W Kijowie

Tak więc w poniedziałek, 1 lipca, ten enfant terrible Unii oficjalnie przejmuje prezydencję, a we wtorek niespodziewanie pojawia się w Kijowie i prezydentowi Ukrainy składa przewrotną propozycję pokojową: najpierw zawieszenie broni, potem negocjacje. „Zapytałem prezydenta Zełenskiego, czy nie odwrócić kolei rzeczy, i przyspieszyć proces przez ogłoszenia najpierw zawieszenia broni. Dałoby to szanse na negocjacje pokojowe...” – opisuje swój pomysł Orbán, któremu oczywiście

podano czarną polewkę. Pozostało tylko wyrazić wdzięczność za „szczerą odpowiedź”. Wizyta w Kijowie nie miała na celu przekonanie prezydenta Zełenskiego do zawarcia pokoju, chodziło o zbadanie stanowiska Kijowa. „Rotacyjna prezydencja Unii nie daje upoważnień do negocjacji... ale jadę tam, skąd jest zagrożenie dla Węgier i Europy i wyjaśniam, jak się rzeczy mają. Dlatego pytałem prezydenta Zełenskiego, gdzie są czerwone linie, których nie przekroczy, by zakończyć wojnę. Jeśli będziemy siedzieć w Brukseli, pokój sam nie nastąpi” – wyjaśnia Orbán.

Dla wyjaśnienia kontekstu – Węgry mają na pieńku z Ukrainą już od przewrotu 2014 roku. Wtedy zaczęła się przymusowa ukrainizacja mniejszości węgierskiej na Zakarpaciu. To powodowało ostre napięcia między Budapesztem a Kijowem, blokowanie starań o akcesję do Unii, sojuszu NATO, czy wydzielania im środków na prowadzenie wojny. A na koniec – Węgrzy nie włączyli pieniędzy dla Kijowa do priorytetów swojej prezydencji, preferując rozszerzenie Unii na zachodnie Bałkany. Już wizyta w Kijowie wywołała oburzenie w Brukseli. Ale to, co nastąpiło później...

Na Kremłu

W piątek 5 lipca wybuchł skandal na globalną skalę. Najpierw pojawił się przeciek, że premier Orbán leci do Moskwy i spotka się z prezydentem Putinem. Ale plotka była z wrogiego obozu, a rząd podtrzymywał, że samolot owszem, leci na wschód, ale do Azerbejdżanu, na szczyt państw tureckich. Bruksela wpadła w panikę...

Gdy okazało się, że samolot wylądował w Moskwie, natychmiast z Brukseli i „jastrzębich” stolic posypały się protesty, dementi, oskarżenia, okrzyki na „X”, że to „nie w naszym imieniu”, że nie mamy z tym „nic wspólnego” i że ten pan „nie reprezentuje Europy”, „nie ma mandatu” itp. itd... Podobnie zdecydowane wyrazy niezadowolenia popłynęły z Białego Domu i

NATO, które notabene dla bezpieczeństwa lotu było powiadomione o locie. Z tego chóru potępienia wyłamał się jedynie premier Słowacji, Robert Fico, który zadeklarował, że „gdyby zdrowie mu pozwoliło, uczestniczyłby w tej wizycie”.

Tymczasem Viktor Orbán rozmawiał już z prezydentem Rosji na Kremlu. Na rezultaty czekano bardzo długo – spotkanie trwało ponad trzy godziny. Na konferencji prasowej rosyjski prezydent określił rozmowy z Viktorem Orbánem jako „szeroką, bezpośrednią i szczerą wymianę poglądów”, co w języku dyplomacji oznacza twarde słowa i diametralne różnice zdań. Warunki Rosji są twarde: nie będzie rozwiązań połowicznych, jakiegoś „pieremirija”, zamrożonego konfliktu, który jedynie pozwoli Ukrainie odetchnąć, odbudować siły, uzbroić się po zęby i znowu uderzyć. Władimir Putin chce „pełnego i całkowitego zakończenia tej wojny”. Czyli neutralnego statusu Ukrainy, uznania władzy Rosji nad zdobytymi regionami, i to w ich administracyjnych granicach, co oznaczałoby konieczność oddania zajmowanych terytoriów.

Orbán stwierdził po spotkaniu, że „pozycje obu stron są bardzo dalekie od siebie, trzeba dokonać wiele działań dla ich zbliżenia, ale najważniejszy krok został dokonany – nawiązaliśmy kontakty”. I zapowiedział, że „będzie pracował w tym kierunku”, gdyż „pokój sam nie nastąpi, trzeba się o niego starać, dlatego przyjechałem do Moskwy”. Jego działania zostały ocenione przez prezydenta Putina jako „próba przywrócenia dialogu”. Orbán potwierdził – bez dialogu i otwartych kanałów dyplomacji nie da się osiągnąć pokoju.

Co warto podkreślić, Węgry także w czasie tego konfliktu współpracują z Rosją, przede wszystkim w sferze energetycznej. Budowane są dwa nowe bloki elektrowni jądrowej PAKS II. Podstawą jest zdrowy pragmatyzm i wzajemne korzyści. To było już jedenaste spotkanie Viktora Orbána z prezydentem Rosji. W październiku spotkali się w Pekinie na szczycie projektu Pasa i Drogi. To było przetarcie szlaków do negocjacji. Jeszcze tego samego dnia premier Orbán wylądował w Azerbejdżanie,

gdzie zagłębił się w głębokie korzenie węgierskiego narodu, czyli spotkał się na szczycie Organizacji Państw Tureckich, w której Węgry mają status obserwatora.

Orbán wobec wojny i NATO

Viktor Orbán nie jest szaleńcem politycznym, zdaje sobie sprawę z pozycji swojego małego, 10-milionowego kraju. Dlatego twierdzi, że „Węgry nie wezmą odpowiedzialności za osiągnięcie pokoju. Nie mamy na to mandatu, odpowiedniej wagi w polityce międzynarodowej, nie mamy wystarczającego PKB, czy armii. Ale możemy być narzędziem przydatnym dla tych, którzy chcą osiągnąć pokój”. Pogląd Orbána na dzisiejszy konflikt na wschodzie jest zupełnie inny niż dominujący w Polsce. Twierdzi on, że „Zachód chce wykorzystać wojnę, aby osłabić, a potem pokonać Rosję, zamiast lokalizować konflikt i zmniejszać skutki wojny”. Uważa też, że Europa w tych sprawach zbyt mocno zależy od Ameryki. Dlatego gdy wszystkie inne państwa hojnie zasilają Ukrainę uzbrojeniem i pieniędzmi, Orbán odciął się od tych działań, osiągnął nawet porozumienie z NATO, że Węgry nie będą uczestniczyć w misji NATO ani przekazywać broni.

Widzi też, jak konflikt eskaluje: „Na początku wojny niemiecki kanclerz chciał wysyłać tylko hełmy, dzisiaj na Ukrainie widzimy niemieckie czołgi i samoloty. Jesteśmy centymetr od zachodnich czy amerykańskich żołnierzy, lądujących na ukraińskiej ziemi. To ostatni moment, by odwrócić ten marsz” – Viktor Orbán mówi publicznie. Jego minister spraw zagranicznych, Péter Szijjártó, uzupełnia o ciekawe spostrzeżenia zza kulis. Twierdzi, że „europejscy politycy cierpią na psychozę wojenną, a ich nieodpowiedzialne oświadczenia zwiększają ryzyko rozlania się wojny. Mamy też przykłady całkowitego szaleństwa, gdy mówi się nie tylko o wysyłaniu własnych wojsk na Ukrainę, ale też o instalowaniu u nas broni nuklearnej.”

Geopolityka konfliktu dla Orbána jest jasna: „My i Polacy

leżymy między Rosją a Niemcami, a Francuzi i Brytyjczycy na brzegach Oceanu Atlantyckiego. Więc sytuacja stąd wygląda zupełnie inaczej niż od nich. Z węgierskiego punktu widzenia światowe potęgi prowadzą tutaj wojnę, która kosztuje setki tysięcy ludzkich istnień. Dla nas będzie ona miała zupełnie inne skutki niż dla Niemiec czy Francji. Więc Węgrzy nie mogą mieć takich samych poglądów jak Anglicy, którzy chcą rozwiązań militarnych. My chcemy pokoju i bezpieczeństwa, to dla nas kwestia egzystencjalna". Orbán przypomniał w swoim artykule w „Newsweeku”, że „NATO zaczynało jako projekt pokojowy i jego przyszłość zależy od umiejętności utrzymania pokoju”. Zarzucił Sojuszowi wprost, że „dzisiaj, zamiast pokoju, jego celem jest dążenie do wojny, zamiast obrony – atak. To przeczy jego fundamentalnym wartościom”. Przestrzega też przed zagrożeniami: „NATO spełnia swoją misję, gdy zapewnia pokój, nie wojnę. Jeśli wybiera konflikt zamiast współpracy, wojnę zamiast pokoju – popełnia samobójstwo”.

Każda podróż zaczyna się od pierwszego kroku. I ten został właśnie uczyniony po dwóch i pół roku wojny. Viktor Orbán wyruszył do Moskwy i Kijowa z misją pokojową, której elity Zachodu i Polski nie chcą, bo nie chcą pokoju, a klęski Rosji. Ale cóż się dziwić, w Waszyngtonie, Brukseli i Warszawie słyszeć tylko bębny wojenne.

Autorstwo: Andrzej Szczęśniak

Zdjęcie: [European People's Party](#) (CC BY 2.0)

Źródło: MyslPolska.info